

Rok II. **1868.**

Przedpłata w miejscu i dla abonentów „Dziennika Lwow.“		Nr. 10.	Dla prenumerujących z osobną przesyłką pocztową	
rocznie	8 złr. — ct.	8 Marca.	rocznie	8 złr. 50 ct
półrocznie	4 „ — „		półrocznie	4 „ 30 „
ćwierćrocznie	2 „ — „		ćwierćrocznie	2 „ 20 „
Pojedynczy numer	— „ 20 „		W w. ks. Poznańskiem ćwierćrocznie	1 tal. 15 sgr.
			We Francji — ćwierćrocznie	6 franków.

KALWARJA
Zebrzydowska.

Do najciekawszych miejsc na drodze z Biały do Lwowa, należy bezsprzecznie sławne miejsce pielgrzymek pobożnych w obwodzie Wadowickim, Kalwarja Zebrzydowska, tak od swego założyciela nazwana. Miejsce to rozróżnić należy od Kalwarji Pacławskiej, dwie mile od Przemyśla odległej; zwłaszcza, iż ta ostatnia co do bogactwa, piękności i wspaniałości kościołów i kaplic, jako też co do swego położenia i widoków, daleko niżej od pierwszego stoi. — U stóp góry Kalwarji leży miasteczko Kalwarja, liczące 1800 mieszkańców, trudniących się tkactwem i rolnictwem. Otwiera się ztąd daleki widok na nadwiślańskie okolice, a żaden obcy i krajowiec nie wstępuje bez zachwycenia na górę Kalwarji. ten najwyższy cypel pasma przedgórzy, składającego się z dawniejszego i późniejszego piaskowca i wapienia, między któremi jednakowoż pierwszy w znaczniejszej znajduje się ilości. — Pomiędzy ciemnemi jodłami i sosnami jakiemi góra Kalwarji jest porośniętą, wystaje mnóstwo bielejących się kaplic, z których każda osobnej scenie z męki naszego Zbawiciela jest poświęcona.



Kalwarja Zebrzydowska.

Na szczególniejszą uwagę zasługuje tuta wyobrażony klasztor Bernardynów z dużym kościołem. Teologiczny naukowy zakład dla zakonników galicyjskich, miał tu od czasu swego powstania siedlisko, dopóki w r. 1830 nie został do Lwowa przeniesionym. W krużgankach klasztornych wiszą popiersia familijne Zebrzydowskich i piękny obraz świętego Franciszka w grobie, u którego stóp papież w nabożeństwie zatopiony klęczy; naprzeciw wielkiego ołtarza wisi obraz króla polskiego Władysława IV, który w r. 1621 po zwycięstwie Chocimskiem uroczyste dzięki Najwyższemu składał.

Założycielem tego sławnego miejsca pielgrzymek pobożnych jest Mikołaj Zebrzydowski, wojewoda krakowski i starosta Lanckoroński, który żałując za rokosz podniesiony i chcąc przebłagać poległych w tej walce, wraz z żoną swą Dorotą Herburtową, tutaj kościół zbudować postanowił. W tym to celu rozkazał dworzaninowi swemu, Hieronimowi Strzale przedsiębiorącemu właśnie pielgrzymkę do Jerozolimy dla odwiedzenia grobu Zbawiciela, aby mu przywiózł rozkład budowniczy tamtejszego kościoła Św. Krzyża i Bożego grobu Strzała powrócił na powrót 1600 r. i przywiózł żądane roz-

kłady budownicze, poczem Zebrzydowski 4. października 1600 r. kamień węgielny do teraźniejszego kościoła położyć kazał.

Michał Zebrzydowski, również wojewoda krakowski, kazał kościół wraz z klasztorem rozszerzyć i powiększyć. Tyle nam dzieje o założenin Kalwarji powiadają. — Poniżej miasteczka leży wieś Zebrzydowice z klasztorem miłosiernych braci, którzy się trudnią pielęgnowaniem chorych z okolicy.

Więzienie w Tobolsku

(Urywek z pamiętników zbiega.)

(Ciąg dalszy.)

Trzeba wiedzieć, że więźniowie nadzwyczaj bywają ciekawi. Są to istne dzieci pod względem ciekawości. Nie jednego z nich nie znudzi patrzeć godzinami jak szewc szyje buty, jak gracze grają w karty, jak chmury przesuwają się po niebie, i t. p. I nie pochodzi ta ciekawość z chęci nauczenia się czegoś nieznanego bo najczęściej to, czemu się niektóry przypatruje lub przysłuchuje, dawno mu jest już znanem — a jest ona po prostu rodzajem gapienia się bezmyślnego, środkiem jak to mówią do zabicia czasu. Z braku jakiego rzeczywistego zajęcia, więzień chwyta się za wszystko, cokolwiek mu może w jakikolwiek sposób dostarczyć rozrywki. To też niech ktokolwiek się odezwie tylko z chęcią opowiedzenia jakiejś historji może być pewnym, że będzie miał zawsze uważnych i licznych słuchaczy, choćby opowiadanie jego kilka razy już było powtarzanem.

— Lat temu będzie z ośim — mówi piętnowany zbrodniarz podnosząc się na nogi — wracałem właśnie z kary, a było nas około dwudziestu. Obszedłszy Jałutorowsk, gdzie wtedy trzydziestoma pletniami zabijali na śmierć, na jakie 100 wiorst wyszliśmy na drogę koło Osinowych Kołków. Wszak wiecie, gdzie Osinowe Kołki?

— Wiemy! wiemy! — ozwały się głosy słuchaczy.

— Wiem, wiem! — powiada więzień z goloną głową — to w Tomskim powiecie. Jak będę wracał, spalę niezawodnie wieś tę. Psu braty chłopi tam mnie wzięli.

— Takich szubrawców zawsze tam biorą! — odpowie z pogardą piętnowany.

— Com ja za szubrawiec, sto djabłów zjadłeś! byłem takimże katorżnikiem, jak i ty, — wracałem z Aleksandrowskiej gorzelni!

— Patrzcie no na katorżnika, chłopcy! Widzicie, jak mu posieleńska skóra wygląda ze ślepiów — a on śmie mówić że katorżnik! Pewnie idąc za kradzież na posielenie, poszedł na miejsce którego z naszych, co mu dał może czerwoną koszulę i pół rubla. Pobył dzień w gorzelni, ta i drała — a teraz bresze psi syn, że katorżanik. Oj bratku, znamy my takich mołodców — daleko ci nieboże do katorżnika!

— O wa! — cóż ty trutniu pomiatasz drugimi? Czy myślisz, że tylko ten katorżnik co ma piętna jak ty na ryle? ja byłem sądzony przez sąd wojenny; przecież także ubiłem rotnego dowódzcę i przeszedłem cztery tysiące szpicrutów.

— Ot jak, cztery tysiące! ta po czterech tysiącach, psi synu, z ciebie by dusza nosem wylazła — rozumiesz?

— Ze mnie to nie, ale z ciebie gapiu pewnie!

Co tam z pustego w próżne przelewać! mówią słuchacze — ot Misza, praw lepiej o chłopcu tatarskim, a ty łbie golony nie przeszkadzaj.

Zadowolony zwycięztwem opowiadacz, odchrząknął i splunął poważnie, butnie przełożył znów czapkę z ucha na ucho i tak dalej prawił:

— Otóż za Osinowymi Kołkami po obu stronach drogi jak wiecie, jest las sosnowy. Brzegiem tego lasu szliśmy gęsiego, kryjąc się za krzaki i zarośla, bo coś wtedy niebezpiecznie się było pokazywać po drogach. Kręgiem szły obławy. Tak jakoś pod wieczór — słonko tylko co zaczęło zapadać — nadnosi nam licho tatarzyna w taradajce. I w myśli nie postało nam niepokoić go, chociaż nie bardzo to kryliśmy się przed nim. Wjechawszy w las i ujrzawszy naszych po krzakach, Tatarzyn wstał, oddał lejce chłopięciu, i ze szablą w jednym a z gwintówką w drugim ręku, śmiało i zuchwale zaczął poglądać po obu stronach drogi. Coś jakby mnie ukłuło na widok tego psa niewiernego urągającego się nad nami. Nie wiedząc nawet co robię — istnie tak jakby mnie kto pognał — wyskoczyłem z lasu i podbiegłem cichaczem do wozu. A miałem tam w ręku tęgą pałkę — ćwierć puda najmniej ważyła. Tatarzyn stał tyłem do mnie, ot tak samo jak ja do tego łba golonego, co to katorżnika udaje. Machnąłem raz tylko i padł pies niewierny bez jęku jak długi na wóz — bo wymierzyłem w samo ciemię. Dopiero kiedy chłopię wrzasnęło, połapałem się, że może być bieda. Trzeba było rychło się zwijać, lada chwila mógł kto nadjechać, bo droga wielka nie spi. Kiwnąłem więc na towarzyszów, związaliśmy chłopaka, usta mu na prędce zatkaliśmy i wóz z końmi manowcami zawiedliśmy nad jezioro owe błotniste, co to poza lasem leży. Tam rozsiekawszy tatarzyna na drobne kawałki i rozniósłszy je po błocie, wzięliśmy się do wozu. Wnet pod rękami naszych młokosów z niego tylko stos się został, który podpaliliśmy.

— A pieniędzy wiele było? — zapytał ktoś z kółka.

— Jakiego biesa wiele, i paskudzić się nie warto było dla tej odrobiny. Przy starym tatarzynie nic nie było; w duhy tylko pod blaszaną nadkładką znaleźliśmy coś 300, a po osiach coś 400 rubli.

— No to przecież 700 rubli! — zawołał drugi.

— Ale na to, kpie jeden, było nas dwudziestu i dwóch! —

— A cóż z chłopakiem i z końmi zrobiliście?

— Konie odprowadził jeden z naszych nocą do znajomego sybiraka, a chłopak... chłopak, psi syn, wił się jak wąż u nóg naszych i prosił, by go puścić żywego... lecz niepodobna było. Wypuściwszy go, trzebaby było nam wszystkim chyba iść prosto do więzienia. Nie daliby nam przechodu obławami, a do tego wiedzieliśmy, że do koła po stepach nasi, więc i im z naszej przyczyny dostałoby się nie mało. Widząc więc, że żaden z towarzyszy nie podejmuje się tej roboty, która jednakże była konieczną, porwałem go za więzy, podniosłem do góry, i przebiłem w powietrzu nożem. Jeszcze teraz widzę, jak się skrzywiło to szczenie niewierne, gdy poczuło nóż mój we wnętrznościach swoich. Szkaradny był psi syn, tylko raz jęknął!

— Widzisz, jęknął pies niewierny! — ozwał się jeden ze słuchaczy tonem, jak gdyby więcej dziwił się jęknięciu, jak całej wyżej opisanej scenie.

— Nie bój się, jęknąłbyś i ty nieboże! Nóż, to nie twój brat — odparł drugi.

— A co, Misza — zapytał trzeci — musiał ci chłopak ów długo spać nie dawać?

— Mnie? — odrzekł z dumą zbrodniarz — cóżbym ja był za włóczęga, żebym nie wiedział jak odganiać senne mary zabitych? Ile razy kogo zabiję, tyle razy krwi się jego trochę napiję i pewnie ni razu mi się we śnie nie pokaże, ręczę za to!

— Patrzno! — zawoła ktoś z kółka — co za własność ma krew zabitego!

— O, krew ta — odpiera inny tonem pouczającym — ma wielką moc. Raz ubiłem Sybiraka w lesie i zakopałem go pod mchami, nie przeprosiwszy przy konaniu, ani nie napiwszy się krwi jego, gdyż o tem jeszcze nie widziałem. I cóżbyście myśleli? Krew jego nie puszczała mnie od siebie, trzy dni błąkałem się po lesie i zawsze jakoś na to samo miejsce przychodziłem. Nasi dopiero, zaszedłszy tam nocować, wyprowadzili mnie.

— Widzisz ty! ot jak!

— I skończywszy opowiadanie zbrodniarze filozoficzną debatą nad własnościami krwi ubitego, rozchodzą sie wszyscy w różne strony, podobnie jakby wysłuchali jakiej w cale niewinnej powiastki.

Przed zawieszonym na scianie miedzianym obrazkiem starowierzec jakiś liczne wybija pokłony i syczy wymawiając słowo J e z u s każdą razą jak gadzina. Tuż koło niego leżąc na brzuchach i patrząc

w okno trzech czy czterech więźniów siłą się gromką pieśnią przekrzyczeć wszystkich.

Długo się modlił starowierzec nieustannie się żegnając, nakoniec składa swój pochodny ołtarzyk, obwija go starannie w kawałki płótna, chowa go do woreczka i wyjmuje ztamtąd grubą księgę.

— Czasby już zaprzestać, chłopcy — mówi on tonem mentora do śpiewających — tych paskudnych pieśni. Nawet i poczytać nie dacie krzykiem swoim dobremu człowiekowi.

— Widzisz no go, jaki mi pan! — odpowie jeden ze śpiewaków — czytać mu nie dają heretyckich książek! Nie trzeba ci było chodzić po nocach z pałką na drogi, byłbyś mógł sobie w domu czytać spokojnie, a kiedyś wlazł między wrony, to krakaj jak i ony.

— Ej, Wańku, psi synu! ozwie się szyderczo drugi — podaj panu fajkę! rozłóż poduszki na kanapie, pan czytać będzie gazety!.. widzisz ty? heretyk jaki, nie przeszkadzaj mu!

— Biesa tam on wziąłby ci fajkę do ust, wszak to starowierzec i do tego bezpopowszczyk!

— Milczeć wy łotry! ja z ojcem pomówię sobie o świętych rzeczach; — mówi czwarty śpiewak i podsuwa się do starowierca — ej, co tam ojcze słuchasz durniów tych nieokrzesanych, przeczytaj mi lepiej o czem, to i ja się czegoś dowiem. Dawno już chciałem się dowiedzieć, dla czego palić tytoniu nie wolno, a nikt mi tego dotąd dokładnie objaśnić nie mógł. Czy nie wiesz ty tego ojcze?

— Dla czegoż nie miałbym wiedzieć; lecz co to mówić napróżno — palić ty przecież nie przestaniesz. Już i w piśmie św. się pisze, że pereł przed świnie rzucać się nie godzi.

Starowiercy nadzwyczaj lubią szpikować swoje rozmowy wyjątkami z pisma świętego. Ulubiony przedmiot wszelkich ich gawęd stanowią rozmaite spory teologiczne. Wprawdzie są to tylko spory o formy i czcze obrzędy, na nich jednakże starowiercy całą swą teologiczną erudycją zasadzają. Nie chodzi im wcale o dogmata, ale tylko o słowa, pisownię, albo o inne tym podobne rzeczy. Najszczęśliwsi są oni wtedy, kiedy mają słuchaczów, przed którymi z uczonością swoją popisywać się mogą. Wszelkie zarzuty zbijają zarozumiałą pogardą i nikt ich nie w stanie przekonać, że się mylą. Podczas gawęd lubią przywdziewać na siebie powagę nauczycielską, i tak się zwykli nią przejmować, iż każdy w mniemaniu swojem przynajmniej uważa się za równego jednemu z tych starych pisarzy kościelnych, których pismami nabił sobie głowę. Wyobrażenie, jakie mamy o starych sofistach, o tyle da się i na nich przenieść, o ile w sposobie ich rozumowania widać wielkie małpowanie tych ostatnich.

— Prawda to, żeśmy grzeszni ojcze — odpowie z pokorą śpiewak — lecz jeśli ci nikt nie objaśni, dlaczego rzeczy jakiej robić się nie godzi, to i nie porzucisz jej nigdy.

Szydzący wprzód ze strarowierca, przysunęli się teraz do niego i z wielką ciekawością zdawali się oczekiwać objaśnień na pytanie towarzysza. Niedawnej niechęci ku niemu i cienia nie było widać na twarzach ich.

Chociaż sekta starowierców nienawidzoną jest w Rosji przez prawosławnych, jednak ci ostatni, osobliwie niewykształcona klasa ich, z rodzajem pewnego podziwu pogląda na tamtych i radzi słuchają ich gawęd teologicznych. Przyczyną tego magicznego, dziś już osłabionego trochę wpływu starowierców na niższą klasę prawosławnych, jest najpierw uczoność pierwszych, z których każdy biegle czyta na staro-cerkiewnych książkach, dalej okropne prześladowania, jakie za czasów Mikołajewskich ponosić byli przymuszeni i jakie niezawodnie nie mało do wzbudzenia sympatji narodu przyczynić się musiały, a nakoniec, i to ostatnie najbardziej, pokrewieństwo zasad co się tyczy intolerancji.

Naród moskiewski wychowywany od niepamiętnych czasów w zasadach ultra despotycznych, a z tej przyczyny i fanatycznych, przesiąkł już niemi do tego stopnia, iż teraz jest daleko mniej liberalnym, jak rząd jego. Wszystko co mu osłabia wędzidła, do których przywykł, co zmiękcza surowe jego obyczaje i co odstępuje od tego, co od kolebki zwykł uważać jako święte prawo, zdaje mu się grzechem o pomstę do nieba wołającym; a natomiast co się sprzeciwia nowowprowadzeniom a tem samem i postępowi jest mu miłem i pożądanem. Z rodzajem pewnego podziwu połączonego z ubóstwianiem, z zachwytem niemal spogląda on na ascetyczne życie pierwszych chrześcian i przenosi wielką część uczuć tych i na ludzi, co według jego mniemania starych chrześcian w trybie życia naśladują. Ztąd taka cześć dla miejsc tak nazwanych świętych — ztąd to niezmierzone bogactwo ławr i pojedynczych klasztorów, ztąd nakoniec mimowolne niemal sprzyjanie dla starowierców, których wprawdzie nie cierpi jako odszczepieńców, ku którym jednakowoż, jako ku fanatykom i intolerantom w najściślejszem tego słowa znaczeniu, pociągniętym się czuje.

Zbrodniarzom moralne ich zepsucie nie przeszkadza wcale być fanatycznymi. Jedno drugiego nie wyłącza bowiem. Tak zepsucie jak fanatyzm są rodzajem moralnej niedołężności, mogą więc wcale zgodnie obok siebie istnieć. Każdy zbrodniarz tu oszuka cię, ubije z najzimniejszą krwią, lecz rzadko który z nich siędzie, do stołu nie przeżegnawszy się wprzódy, lub będzie jadł w środę lub w piątek z mięsem. Jako fanatycy, oni w religji nie wiedzą nic więcej, prócz obrządków i form zewnętrznych.

(C. d. n.)

RENEGAT

(powieść tegoczesna)

napisał

ADOLF NAŁĘCZ.

I. Zastęp carski.

(Dalszy ciąg.)

Mama przychodzi do siebie, szepnął po cichu młodszy brat do Władzia, któren nie spuszczając pistoletu — groźnie mierzył do sotnika.

— Ha! to wy tchórze!! „boicie się malca!!“ zawołał dumnie Władzio. Jesteście w domu laszym, w domu polskim, w domu miatieżników, mógłbym zemścić krwawo krzywdę mojej matce wyrządzoną — ale jesteście u nas gośćmi, ta strzecha gościnna niech będzie ocaleniem dla tego co bije kobiety, a truchleje przed malcami.

Wyrzekłszy te słowa — rzucił pistolet pod nogi oficerom, spojrzał na matkę z omdlenia budzącą się — i szepnął — „Mamo bądź zdrowa!“ — i wybiegł na dziedziniec, pocieszony ostatniemi słowy matki. — „Uciekaj Władziu niech cię Bóg prowadzi!“

Władzio jak już wiemy miał lat trzynaście; silnej budowy ciała i nad wiek energji i samoistności, jednakowoż był on jeszcze dzieckiem nie pojmował smutnego położenia swego, wypędzony nagle z ojcowskiego domu okolicznościami, których choć nie powodował, jednakowoż przyczynił się do ich nagromadzenia w obronie swojej matki, mógł sciągnąć na siebie i na całą familię nieubłaganą nienawiść dzikich wrogów, protegowanych przez prawo i władze celujące w nadużyciach i okrucieństwach.

Władzio, wybiegłszy na dziedziniec przeskoczył przez kilku kozaków śpiących z pijaństwa, dosiadł raźnie, osiodłanego konia kozackiego, a słysząc za sobą gwar, przekleństwa i słowa: „łapaj laszka, miatieżnika“ użył całej swej zręczności w jeżdżeniu i dopadł w pędzie do pobliskiego lasu.

Znalazłszy się w lesie, którego drożyny, ścieżki, polanki i wertepy były mu znane, czuł się bezpiecznym od ścigania i pierwszego niebezpieczeństwa.

Zatrzymał konia, i westchnął — z rodzicielskiego domu wypędzono syna od matki!!! — Prawo natury odezwało się tem silniej, im gwałtowniej i febrycznie, wzruszone były jego przed chwilą uczucia — albowiem tylko grzączkowe wytężenie, nadało mu śmiałości wznieść się do spotęgowanej ekzaltacji na widok nahajką mo-

skiewską skrwawionej matki i stanąć z bronią w ręku przeciw pijanej tłuszczy, gotowej zawsze do rozboju, mordu i okrucieństwa tam gdzie się czuje w przewadze a bezkarność ma zapewnioną.

Łzy spłynęły po licach Władzia. Pierwszy raz w życiu, uczuł się sam na tym świecie.

Wspomnienie na dom rodzicielski, na kochającą go matkę, na niebezpieczeństwo które groziło może rodzicom, na brata młodszego wystawionego na odwet zemsty barbarzyńców; wszystkie te myśli i uczucia nagle i raptownie przesuwały się w jego głowie i sprawiały mu ból, ból pierwszy w młodem jego sercu. Wypędzony z domu od matki i ojca!" — powtórzył raz drugi — smutkiem i żalem miotany chłopak.

„Moskale!" dodał on posępnie zadumawszy się głęboko — „carscy słudzy"!.

Władzio obtarł łzy, a gdy uczuł pistolety w olstrach, twarz jego zarumieniła się a czoło jego, ułożyło się pierwszy raz w życiu w zmarszczki zasłaniające dziwne myśli, które się tłoczyły gwałtownie w niedojrzałym umyśle.

„Przestrach — skrzywdzenie — żal głęboki i nadciągająca jak czarna chmura, co grozi piorunem, myśl o zemście — przesunęły się boleśnem pasmem w głowie jego. „Boże ratój rodziców moich, a weź mię w opiekę Twoją." Krótka ta modlitwa, wznosząca się pewnie do Boga — utuliła żal — nienawiść i bole serca; twarz młodego chłopca wypogodziła się naraz a łzy dobroczynne, spławiające gorżkie uczucia; spłynęły obficie po licach Władzia — a cisza i spokojność, wzbudzone ufnością w Boga i jego miłosierdzie ogarnęły duszę chłopaka.

Myśli o zemście i nienawiści ustąpiły z jego serca. Władzio zesiadł z konia, trzymając cugle w rękach, ukląkł nabożnie modląc się do najwyższego Boga, za rodziców oddanych na pastwę wroga za ojczyznę deptaną przez barbarzyńców -- za całą ludzkość — nawet za Moskali, aby Bóg ich oświecił — albowiem nie wiedzą oni co czynią — podtrzymując kłamstwo — rabunek — mordy i niesprawiedliwość na tym świecie.

Po tej modlitwie, dosiadł na nowo konia — i puścił się cwałem w głąb lasu — unosząc ze sobą pamiątkę tylko o błogich na łonie rodziców przepędzonych latach młodocianych.

Władek od tej chwili już nie był dzieckiem. Przedwcześnie spotężniał na duchu i był mężem, albowiem wytknął sobie cel życia całego: „Będę z całem sercem służył ojczyznie mojej."

Moskale i ich pełne hańby czyny — rodzą Polsce patrjotów i męczenników. — Nieprzewidziane są wyroki boskie.

II. Miatieżniki.

„Stój! kto idzie!! słowa te obudziły z marzenia pędzącego cwałem Władka, i powstrzymały bieg szalony, kozackiego rumaka.

Władek spojrzał przed siebie.

Jezdziec wąsaty: mierzący z pistoletu do niego był to pierwszy żywy obraz, co się przedstawił oczom jego.

„Hoho to jakiś dzieciak!" wymówił wąsacz, spuszczając pistolet do nogi.

Władek zawstydził się trochę.

„Gdzie to tak nagle Mosanie!" — zapytał śmiejąc się stary, na czatach stojący, wiarus.

„Od Moskali, ze Smolanki uciekam", odrzekł Władek niespokojny;

„A fe! któż ucieka przed Moskalami" żauważył stary wiarus, podkręcając wąsa."

To tam w Smolance to przecież tylko kozacy — te pastuchy.

Władek mocno się zarumienił na tę uwagę wiarusa i zamilkł.

— Ta bo paniczek na kozackim koniu!! coś rzecz podejrzana!! mówiąc to wiarus na straży stojący — krzyknął coś, w tył się zwracając.

W kilka sekund, przybiegł konno jakiś drugi jeździec.

Po krótkiej rozmowie ze strażą — nowy przybyły jeździec, wziął za cugle konia Władka — prowadząc go w milczeniu obok siebie.

Władek bez najmniejszego oporu i całkiem spokojny, dał się prowadzić, rozciekawiony, niespodzianym mu wypadkiem, który go wtrącił między nieznanych mu ludzi, nieznane mu jeszcze przygody.

Dziecinny jego umysł, nastręczał mu różne uwagi, odwaga mu wrodzona przytłumiła wszelkie obawy, któreby ogarnąć mogły, młodocianą jego duszę, nieznającą jeszcze żadnego niebezpieczeństwa. Po długim milczeniu odważył się Władek na zapytanie:

— Czy wy może Moskale?

— Niech Bóg uchowa, — odpowiedział mu z oburzeniem towarzyszący żołnierz.

Na tę odpowiedź twarz Władka rozjaśniała się pogodnie.

— To wy pewnie polscy żołnierze? zapytał dalej wesoło Władek.

— A jużcić nie inaczej — nasz pułk wołyński — my Wołyniacy, mój paniczyku! — ale teraz cicho!! nie wolno żadnej gadaniny!! ostro zakazano!

W milczeniu dojechali obaj za minut kilka na małą łąkę, gdzie nasz Władek zobaczył kilkunastu mężczyzn zbrojnych, siedzących na około rozłożonego ogniska.

Jedni palili fajki cicho rozmawiając, drudzy spoczywali leżąc na zielonej murawie.

Konie pokulbaczone stały rzędem do drzew przywiązane, a obok nich w ziemię pozatykane lance, dawały do poznania, że oddział ten jeźdźców, jest w pogotowiu do dalszego marszu lub też że stoi na czatach.

„Kto idzie!" zawołał żołnierz, od oddziału naprzód wysunięty,

— Posyłka z placówki z jeńcem — odpowiedział eskortujący Władka jeździec — dając jakiś znak, widocznie umówiony, na straży stojącemu żołnierzowi.

Przyprowadzono Władka przed oficera komenderującego placówką.

Po wysłuchaniu całego zdarzenia w Smolance, w skutek której zmuszony był opuścić dom rodzicielski — odstawiono Władzia, nie już jako jeńca, ale z czujnością i czułością braterską do sąsiedniej wioski, w której kwaterował dowódzca stojącego w tych okolicach pułku.

Przed pułkownikiem powtórzył Władek swoje opowiadanie i był mile jak do grona familii przyjęty.

Młodsi oficerowie jak zawsze popędliwi, oburzeni postępowaniem kozackich przełożonych, domagali się stanowczego ich ukarania — proponując napad. — Pułkownił jednak, biorąc na uwagę możliwe smutne następstwa dla całej rodziny Władka, rozważywszy rzecz, zganił podwładnym ich zdanie, zostawiając sobie samemu rozporządzenie w tej sprawie. Nazajutrz jazda wołyńska ruszyła w dalszy pochód.

Marsz tego pułku wypadał przez Smolankę, posiadłość rodziców Władka. Do dalszego rozporzędzenia młody ten chłopak zostawał przy świcie pułkownika, któren uważał za swój obowiązek, zastąpić mu rodziców. Gdy kolumna tej jazdy debuszowała drogą leśną do Smolanki, nie zastała już tam kozaków. Jak po każdem spustoszeniu, grobowa cisza panowała we wsi zrabowanej.

Kilka spalonych chat, porozrywane ogrodzenia, jęki i płacze dobywające się żałośnie z niektórych chałup, były śladem i marszem pożegnawczym spiesznego pochodu carskiego zastępu, spłoszonego oddziałem buntowników Lachów.

Pułk wołyński przesunął się długą kolumną przez tę wieś nawiedzono tak srogo, dążąc do zboru mu przeznaczonego.

Pułkownik z adjutantem i Władkiem wstąpił do rodziców jego, aby ich pocieszyć przytomnością zbiegłego syna.

(D. c. n.)

Lirnicy.

Gniazdem najdawniejszych lirników są ziemie ruskie rzeczypospolitej. Kobza czy duda, najulubieńszą była też i w krajach nadwislańskich, i tu sławni powstali dudarze i kobeznicy; lirnicy wędrowni chętnie i gościnnie byli przyjmowani, a lud otaczał każdego z radością i słuchał rozrzewniony ich dum i pieśni.

Pojawiali się oni i w samej Warszawie. K. Wł. Wojcicki tak ich opisuje: Pamiętam z lat mojej młodości starca lirnika, co obchodził po mieście i często na ustroni ogrodu Krasińskich przygrywał. Wysoki był, pochylony nieco laty, siwy, poważnego i czerstwego oblicza, okryty zawsze jasno - niebieskim płaszczem z krótkim kołnierzem, pod którym nosił lirę. Chodził od gospody do gospody, grając na lirze i przyśpiewując drżącym głosem dawne pieśni.

Przychodził najczęściej do domu przy ulicy Podwale nr. 52 ½, gdzie w oficynie bocznej była gospoda, licznie odwidzana przez rzemieślników ze Starego miasta i ulic przyległych. Gospodarz jej Skowroński, chętnie widywał tego starca poważnego, obdarzał go datkiem i szklanką piwa, bo wódki nigdy nie pijał.

Skoro niebieski płaszcz, jak zwykle zwano lirnika, usłyszał grającą katarynkę, albo skrzypka, już nie przestąpił progu gospody, ale siadał niedaleko drzwi, na kamieniu pod wysoką topolą na obszernym podwórzu.



Lirnik Ukraiński podług fotografji Beyera.

W młodych leciech służył w kawalerji. W jego pieśni pierwszy raz obok króla Sobka (Jana III) usłyszałem pieśni o Kaźmirzu Puławskim. Z dawniejszych czasów mało o sobie mówił, chociaż na wspomnienie zwycięzkiej walki prostował się, oczy mu blaskiem jaśniały, a potem spuszczał smutnie głowę na piersi, mówiąc: „Bywało się tam na świecie, ale to już wszystko przeszło, została starość nie radość.“

Pamiętam jego słowa, gdy raz wychodził z tej gospody, nie mogąc nic zarobić, bo gospodarz nie dał mu jałmużny i zwykłej szklanki piwa, dla natłoku gości. Okrzyk pijanej gawiedzi i wrzaskliwa katarynka, wywołały zachmurzenie na jego czole. Stanąwszy na progu, właśnie gdym biegł na powitanie starca, wyrzekł te słowa:

— Źle. że starego nie chcecie słuchać, a stary dawne czasy i rzeczy pamięta.

Było to między rokiem 1824 a 1826. Od tej pory już go nie widziałem. Roman Zmorski, we dwa lata później tak go opisuje:

„Był to może siedmdziesięcioletni starzec, silnej budowy i wzrostu wyniosłego, który tem bardziej uderzał, że mimo podeszłego wieku, trzymał się, skutkiem zapewne dawnego wojskowego nałogu, wcale niepochylony. Czerstwe jego oblicze, poczerwieniałe od słońca i powietrza, obok wydatnych ludu naszego rysów, nosiło wyraz uspokojenia zupełnego i cichej zadumy, doskonale odpowiadającej rzemiosłu, które sprawował. Wielkie, błękitne źrenice, zaledwie przeglądały jeszcze z pod bielma, którem je starość powlekła. Niewielka siwa broda spadała mu na piersi, a na ramiona długie, jak len gładkie, rozdzielone w pośród czoła, z pod srebrnej siwizny barwą bursztynu przeświecając spływały włosy. Głos jego, drżący nieco, był wyrazisty i silny. W ruchach i mowie uderzała ta niewymuszona, pełna prostoty i prawdy powaga, właściwa w podeszlejszym wieku wieśniakowi naszemu, jeśli go z niej gorzałka albo brudna nędza nie obedrze. Za codzienne odzienie służyła mu długa, wyszarzana i spłowiała opończa niebieska, z wiszącym u kołnierza kapturem, pasem skórzanem ściągnięta.

„Od tego to niezmiennego stroju, dostało mu się nazwisko niebieskiego płaszcza, pod którem powszechnie i jedynie był znanym. Niebieski płaszcz! niebieski płaszcz! wołała rzesza, słuchać go chciwa, biegnąc naprzeciwko niemu, gdy z torbą dziadowską przez jedno, a lirą przez drugie przewieszoną ramię, zbliżał się wsparty na sękatym kosturze.

„Między tą całą warszawską gawiedzią nie miał on zapewne gorętszego wielbiciela i słuchacza nademnie, siedmio lub ośmioletnie naówczas dziecię. W domu przy ulicy gdzie mieszkałem, bywał czę-

stym gościem, a czasami zostałem i na nocleg u poczciwego stróża Bazylego, Rusina z Podlasia. Każdy taki nocleg staruszka, był dla mnie wielką uciechą, bo go wtedy dowoli nasłuchać się mogłem. Lubił mnie on bardzo, pozwalał brząkać na swojej lirze, bawić się z brodą swoją; opowiadał mi i śpiewał chętnie, tak długo, aż zmorzony usnąłem na jego kolanach, albo też gwałtem do domu mnie wzięto.

W ostatnim roku życia mieszkał przy ubogiej rodzinie na powiślu. Umarł snem spokojnym, pogrzebiony w tym samym niebieskim płaszczu. Lira jego, na której nikt grać nie umiał, rozbita nieostrożnie i rzucona na komin, posłużyła do rozniecenia ogniska w tem schronieniu nędzy.

Tak zgasł zapomniany ostatni lirnik w murach Warszawy, prawie równocześnie, kiedy gasnący w Szkocji minstrel był przedmiotem troskliwego swych rodaków zajęcia, a w Serbii Wuk Stefanowicz Karadicz wyszukiwał starych ślepców i ogłaszał z ust ich zebrane rapsody, które z taką wiernością i talentem podał nam w ojczystej mowie ten sam Roman Zmorski, kołysany do snu przez starego lirnika.

Zmniejszyła się i we właściwem gnieździe liczba lirników. W Galicji, na starym pokuciu, a dziś w Kołomyjskiem, ponad brzegami Prutu, we wsi Matyowce, znano w roku 1833 szczególny rodzaj ślepych lirników. Natura nie odjęła im wzroku, lecz albo sami się ślepili, lub od własnych rodziców zostali oślepieni. Znano takiego dziada w tej właśnie okolicy, który dwóch synów swoich oślepił. Jak wieść ludowa niesie, do oślepienia używają albo znanego sobie soku ziela, albo też rozpalonej blachy. (*)

Ślepiec taki albo gra sam na lirze, lub go oprowadza młody chłopiec przygrywający na niej i przyśpiewujący pieśni. Rzewnie patrzeć na starca, pozbawionego wzroku, jak ze sakwami na plecach, trzymając za ramię chłopca i podpierając się okutym kijem, obchodzi sioła i dwory na Pokuciu.

Ślepienie dobrowolne przez ojca synów naprowadza na wniosek, że ten rodzaj poświęcenia na śpiewaka łączyć się koniecznie musiał z jakąś myślą religijną; pozbawienie wzroku zaostrzało zmysł słuchu i dotknięcia; wszyscy też ślepcy najwyborniejszemi są grajkami na lirze.

Słynne niegdyś bandura i teorban, już znikły z Ukrainy; z rzadka je tylko napotkać jeszcze możesz w Bessarabji i za Prutem w Multanach i Wołoszczyznie. Lira tyiko poważna utrzymała się dotąd w tej rozgłośnej ziemi. Lirnicy byli prawdziwemi wieszczami ukraińskiemi; tworzyli oni sami dumy historyczne, w ich ustach prze trwały pieśni uwieczniające pamięć sławnych hetmanów ukraińskich, jak Sahajdacznego, Doroszenki, Mazepy, Bohdana Chmielnickiego i wielu innych.

Lirnicy są pobożni wielce. Jeżeli na cmentarzu wiejskim ma który kogo z rodziny lub przyjaciół, to nie oczekując od nikogo datku, siada na mogile bezludnego cmentarza i wygrywa na lirze, przyśpiewując pieśń żałobną, na pociechę zmarłej duszy. Takich ma nie tylko Ukraina, ale i Pokucie galicyjskie.

Nic nie może być więcej rzewnego, jak w owej chwili taki śpiewak. Siwy i zgarbiony laty, najczęściej ślepiec, posadzony na mogile przez chłopca, który poszedł na wieś do znajomych, samotny gra i śpiewa, a po prześpiewaniu każdej zwrotki, przestaje, nachyla głowę do ziemi, jakby czekał westchnienia zmarłego, lub jego słów podzięki, i z coraz większym zapałem wyśpiewuje dalsze strofy.

W ciszy cmentarnej, w pośród szumu tylko drzew, co tę ustroń śpiących snem wieczystym okala, dźwięk liry i śpiew drżący starca wywołać musi w każdej duszy czującej głębokie, pełne rzewności wzruszenie.

(*) Podobny rodzaj ślepych dziadów i w Polsce był przed laty. Dowód na to mamy w starym dyalogu; drukowanym 1553 r. p. n. Rozmowy, w którym czarownica, przyznając się do swoich występków, między innemi mówi:

„A drugą'm rzecz uczyniła,
Strychowi oczy skaziła;
Ale mu to nic nie wadzi,
Rychło mu da pieniądz każdy,
Widząc tę jego lichotę,
Którą cierpi przez ślepotę.

Henryk Schmitt.

(Dokończenie.)

W tym właśnie czasie próbował sił swoich w poezji i powieściarstwie, a skreśliwszy kilka drobniejszych powiastek, zaczął następnie powieść kilkutomową pod napisem: „Człowiek gmina“, której nie skończył z powodu wypadków, które go zaskoczyły. W skutek bowiem zetknięcia się z Teofilem a następnie z Hugonem Wiśniewskim, który będąc słabym, wezwał go do Lwowa, miał on dość czynny udział w przygotowaniach w Złoczowskim, a gdy termin przyszedł wybuchu 22. lutego 1846, stanął pod Narajowem. zkąd powstańcy w 36 ludzi wypłoszyli pół szwadrona huzarów. Na tem skończyła się też jego wojskowa i wojennna karjera. Z pod Narajowa udał się z resztą uczestników wyprawy do Pomorzan, a ztąd w towarzystwie Teofila Wiśniewskiego pod Gołogóry, a potem odjechał do Romanówki, własności Piotra Nawratila pod Szczurowicami. Surowe rozporządzenia rządowe zmusiły go do ukrywania się w tamtej okolicy, gdzie też siedząc w małym folwareczku należącym do Zawicza, napisał w przeciągu dwóch tygodni trajedję pod tytułem: „W a c ł a w c z y l i p o w s t a n i e w r. 1 8 4 6.“ Trajedja ta napisana wierszem białym jest obecnie własnością biblioteki Raczyńskich w Poznaniu. Zmuszony wkrótce opuścić swą kryjówkę, jeździł parę tygodni po kraju, a gdy właśnie miał się przeprawić przez granicę do Mołdawji, uwięziono go (w pierwszych dniach Maja) w Piotrowcach na Bukowinie i odstawiono do Czerniowiec, a ztąd do Lwowa.

W ciągu więzienia śledczego napisał dwa mniejsze poemata, jeden pod tytułem „S o w a“ odnoszący się do zajść krwawych i więziennych w Sanockiem, a drugi pod napisem: „W i ę z i e ń“ przedstawiający więźnia wracającego po 20letniem więzieniu do kraju, gdzie go nikt nie poznaje. Dwóch dłuższych utworów t, j. S ą d w P i e k l e i Ż e b r a c z k a nie skończył. Treścią pierwszego były wypadki 1846 r. opisane w tak zwanej o t t a v a r i m a, a drugiego który doprowadził do piątej pieśni, było scharakteryzowanie rozmaitych form powstań narodowych począwszy od konfederacji bartkiej aż do r. 1846. Prócz tego napisał w więzieniu przeszło 100 sonetów rozmaitej treści.

Śledcze więzienie w r. 1846 i 1847 było nader ostre — a z początku nieznośne nawet, ponieważ wsadzono go pomiędzy dziesięciu złodziei, z którymi tę samą musiał dzielić kaźnię i dopiero po przeprowadzeniu śledztwa dozwolono mu siedzieć samemu. Policzony w kategorję tych, których miano skazać na śmierć, był nierównie ściślej strzeżony, a nawet podczas śledztwa siedział w kajdanach. Sędzia śledczy radzca Kratkie poczynał sobie z nim z początku dość nieprzystojnie lecz w końcu miał Schmitt przynajmniej to zadośćuczynienie, że sam w obecności tak zwanych asesorów wynurzył mu w najuprzejmiejszych wyrazach swe poważanie jako człowiekowi, jak mówił, któremu mimo różnicy zdania musi cześć oddawać. Wyrok śmierci zatwierdzony we wszystkich trzech instancjach zmienił cesarz w 20letnie więzienie na Szpilbergu. W dniu 30 lipca 1847 odczytano mu ów wyrok przyjemny, a nazajutrz o godz. 2 rano wyprawiono go wraz z 25 innymi w potrójnych kajdanach na Szpilberg. Wypadki w marcu 1848 otworzyły mu i wszystkim współwięźniom bramy więzienia. Za powrotem do kraju przebywał kilka miesięcy we Lwowie, a następnie wyjechał na wieś, gdzie napisał wierszem 5aktową trajedję „N i e z g o d n i b r a c i a,“ znajdującą się w rękopismie w zbiorach Pawlikowskiego. Większa część jego utworów poetycznych, pisanych szpilką lub w podobny sposób w więzieniu, zginęła bezpowrotnie.

Przeświadczywszy się w końcu, że mimo łatwości w wierszowaniu, nie ma właściwie wrodzonego do poezji talentu, że zatem marnowałby bezowocnie czas na to jedynie, aby pomnożyć poczet miernych wierszopisów, rzucił się na pole publicystyki i dziejów. Lecz jak w każdym kroku życia musiał wśród cierni stąpać i każde że tak powiemy stanowisko wstępnym zdobywać bojem i wszędzie spotykać albo złość albo nienawiść ludzką, tak było i w obranym zawodzie pisarskim, który rozpoczął po ożenieniu się (25 listopada 1849). Tak zwane powagi lwowskie onego czasu powitały prawdziwie nie po bratersku występującego pisarza nowego jak gdyby wtręta, który bez ich pozwolenia i upoważnienia wciska się do przybytku piśmiennictwa narodowego. Przywykły do nieprzyjaźni ludzkiej od dzieciństwa, ale oraz i do walki; a przytem obojętny na zdania ludzkie, byle własne sumienie mu zasłużonych nie czyniło wyrzutów, nie dał się tem przyjęciem odstraszyć. Pisał więc dalej, gdyż uważał w tem powinność swą obywatelską, a pisał według sumienia i przekonania bez względu, czy się podoba i czy sobie zyska wziętość. W publicystyce i dziełach miał jedynie sprawę swego narodu na celu — a gniewy draśniętych, których oceniał wedle skali ich zasługi w sprawie publicznej, nie obchodziły go wcale, ponieważ nie uganiał się nigdy za popularnością i nie myślał uganiać się za nią.

Był też Henryk przez dłuższy czas współpracownikiem Czasu, Dziennika literackiego i Gazety warszawskiej, w których umieszczał wiele rozpraw, krytyk i uwag co do spraw bieżących. Niektóre artykuły jego wyszły w tych pismach pod jego własnem imieniem, lecz największa część jest umieszczona pod rozmaitemi znakami. Jakiś czas pisał do ołomunieckiego dziennika „Neue Zeit“ korespondencje pod znakiem λ, w których starał się bronić kraj i naród przeciw zarzutom oszczerczym wiedeńskich i innych dzienników niemieckich nam nieprzyjaźnych.

Pierwszem dziełem, które zaczął wydawać, był „Rys dziejów narodu polskiego od najdawniejszych czasów aż do r. 1763. Dzieło to wychodziło w 10arkuszowych zeszytach. Pierwszy zeszyt wyszedł 1854 r. w drukarni zakładu imienia Ossolińskich we Lwowie. — Na dziesiątym, gdzie doprowadził opowiadanie do roku 1397, przerwał druk dzieła — i zacznie je dalej drukować dopiero około jesieni przyszłego (1869) roku. Potem napisał „Rokosz Zebrzydowskiego“, do czego użył zebranych przez ś. p. Aleksandra Batowskiego, przyjaciela swego, materjałów rękopisemnych, których mu jako owoc 15letnich poszukiwań najchętniej do opracowania tego ważnego w dziejach naszych wydarzenia udzielił. Uzupełnił jego studja własnemi, a tak wyszła (1858) owa monografja w dość wyczerpującem obrobieniu. Trzecią z kolei przez niego podjętą pracą był „Pogląd na życie i pisma ks. Hugona Kołłątaja“. (1860 roku).

W r. 1861 zaczął wydawać „Dzieje polskie od najdawniejszych do najnowszych czasów potocznie opowiadane, których zeszyt czwarty, doprowadzony do r. 1763 wyszedł 1863. Dzieje te przełożył Szrejer na moskiewskie w roku 1866. Dalszy ciąg tychże wyszedł pod napisem „dzieje Polski XVIII i XIX w.“ w wydawnictwie dzieł tanich i pożytecznych w 3 tomach a mianowicie w T. I, V, IX ogólnego zbioru. Tom ostatni tych dziejów obejmujący dzieje porozbiorowe, wyszedł jego własnym nakładem w drukarni Wojciecha Manieckiego.

Z mniejszych utworów Henryka Schmitta, wspominamy artykuły w odcinku gazety warszawskiej, a mianowicie „Sprawa Łokietka z krzyżakami o Pomorze“ i „Rozruchy gdańskie w r. 1526 za Zygmunta I.“ — „Uwagi w sprawie bezwarunkowego równouprawnienia żydów“ wydał jako broszurę we Lwowie r. 1860, a dalej „Ideę narodowości polskiej“ także we Lwowie 1862, jak niemniej „Kilka słów w sprawie polskiej“ we Lwowie 1861. Prócz tego wydrukowano w piśmie zbiorowem towarzystwa naukowego młodzieży polskiej w Paryżu artykuł jego „Polska w rzeczywistości dziejowej a Polska w dziejach Koronowicza i Józefa Szujskiego“, „Czytelnia narodowa“ wydawana w Paryżu p. J. O. umieściła jego rozprawkę: „Stosunek idej wolności do idej państwa w Polsce“. W rocznikach zaś poznańskiego towarzystwa przyjaciół nauk wyszły jego dodatkowe uwagi o rokoszu Zebrzydowskiego, wydane także w osobnem odbiciu. Obecnie pracuje on nad czterotomową monografią panowania Stanisława Augusta Poniatowskiego, której druk rozpocznie się u Wojciecha Manieckiego w przyszłym miesiącu. Musimy tu jeszcze wspomnieć o dwu tomikach „materjałów do dziejów bezkrólewia po śmierci Augusta III i pierwszych lat 10 panowania Stan. Augusta Poniatowskiego“, które przełożył z trzech łacińskich i francuzkich rękopisów ze zbiorów Pawlikowskiego w r. 1857 i umieścił najprzód w Dzienniku literackim — a które następnie wydał M. P. swoim nakładem.

Wszystkie te prace wypełniają przeciąg czasu między 1850 a 1868. Za swoje przekonania doznawał on ciągłego prześladowania ze strony rządu, i szarpaniny co nie miara ze strony rozmaitych dzienników i pisarzy polskich. Pan Kaczkowski Zygmunt zrobił go w Głosie niemcem z urodzenia i przekonania i postawił go na równi z Wutkiem, Kohlem i innymi ejusdem generis. — Pan Estrajcher był łaskawszy „w Tygodniku naukowym poznańskim“, gdyż raczył go uznać, że urodziwszy się Niemcem, wyłamał się przecież z niemieccyzny, co za nim powtórzyli pp. Nehring i Rycharski, a oraz Encyklopedja powszechna Orgelbranda. — Pan Bartoszewicz oświadczywszy o nim swym czytelnikom w początku artykułu, że jest bardzo uczonym, zamknął twierdzeniem, że nic nie umie. Pan Lucjan Tatomir pisząc panegiryk dla Józefa Szujskiego do Warszawskiego tygodnika illustrowanego przeciwstawił jego biedne dzieje polskie wielkiemu dziełu swego laureata i orzekł, że umie jedynie recytować fakta monotonnie i nic więcej. Pan Powidaj osądził go w Dzienniku literackim z r. 1865, że nie rozumie się wcale na dziejach i tak jest ograniczony, że nie zdołał pojąć prawdziwej myśli Buklego, ale brał ją au pied de la lettre, a p. Józef Szujski osądził nareszcie w Przeglądzie polskim — a raczej krakowskim, że fałszuje dzieje i wypadki, od którego to zarzutu sam przecież nie jest wolnym. Jakie jeszcze będą sądy o jego pracach rozmaitych innych panów, spodziewamy się, że będzie mu to najzupełniej obojętnem. Pracował on w poczuciu swych obowiązków obywatelskich — a czy za to czeka go kula czy stryczek, czy uznanie lub potępienie ze strony mieniących się krytykami i kierownikami opinji publicznej, czy w końcu wziętość lub zapomnienie u publiczności; o to, dbać prawdziwy talent nigdy nie powinien.

My o Henryku Schmicie sumiennie i z przekonania powiedzieć możemy to tylko, że się nigdy nie sprzeniewierzył sprawie swego narodu, że nie był chorągiewką, zmieniającą swe położenie według powiewu wiatrów różnokierunkowych, że wyjaśnił nie jednę ciemną stronę bliższej i odleglejszej przeszłości naszej, że pracami swojemi historycznemi zdobył sobie miejsce w szeregu pierwszych badaczy historycznych naszego wieku i że jest prawym polakiem.

W numerze 9 w wierszu 17, przełożono w druku na str. 71, zamiast jego żony, swojej żony — co się prostuje; — p. r.

ROZMAITOŚCI.

— **Akademicy polacy** w Wrocławiu, chcąc uczcić pamięć śp. Wojciecha Cybulskiego profesora literatury słowiańskiej przy tamtejszym uniwersytecie — kochanego powszechnie przez swych słuchaczów, a zawcześnie zgasłego dla nauki, zamówili już pomnik, krzyż na podstawie z marmuru kararyjskiego z skromnym napisem. Poświęcenie tegoż pomnika odbędzie się 7 b. m.

Wielkopolanie również chętnie podążają z ofiarami na pomnik dla ś. p. Waligórskiego b. redaktora Dziennika poznańskiego i posła na sejm berliński.— Znaczna już kwota, jaka wpłynęła dotąd na ten cel, pozwala wkrótkim czasie wznieść rzeczony pomnik.

— **Dzieje narodu polskiego** dla ludu polskiego i młodzieży z przeszło 50 rycinami, zasłużonych mężów w naszym narodzie, po nader taniej cenie, postanowił wydać p. Chociszewski w Chełmnie, znany autor wielu dzieł dla ludu i młodzieży i wydawca Piasta. Cena tego dziełka w drodze przedpłaty za 1 odcisk dziejów, wynosi tylko 7½ sgr. i franco zapisującemu dziełko to dostarczonem będzie. — Oprócz powyższego dzieła przygotowuje do druku: Dzieje piśmiennictwa, czyli Literatury polskiej w sposób przystępny dla ludu i młodzieży, opowiedziane tudzież: Malowniczy opis Polski, o rzekach, górach, miastach, pomnikach, mieszkańcach i t. p.

Typy czytelników gazet w Galicji.





Na gruzach.

(Epizod z partyzantki 1863 r.)

napisał

Aleksander ....

(Dalszy ciąg.)

Pan Stefan rycerz ów — raczej [bohater
Powieści — (który w swoim cza- [sie głośny
Na cały powiat był.) Jako kreator
Wyrzucał słowa z piersi — a mi- [łośny
Głos, zdradzał duszy wewnętrzną [burzliwość
A ona stała przed nim jak wsty- [dliwość.

Jak skromność chciałem powiedzieć — ka- [dencja
Byłaby na tem ucierpiała dużo,
A że jest mała bardzo dyferencja
W tych wyrażeniach, gdyż obadwa służą
Cnocie — a zatem w sercu nic nie zbywa,
Czy była skromna przed nim czy wstydliwa.

On jej do ucha szeptał tak namiętne
Słowa — gorące jak lak rozpalony —
A ona miała oczy takie smętne...
I wyglądała jak kwiat pochylony
Pod wiatru nogą... a z tem śliczną była,
Gdy mówił do niej...
Chyba mnie mogiła
Rozdzieli z tobą — chyba po mym trupie,
Pójdziesz innemu przysięgać kochanie.
Wszakżeś ty moją jest? Ja tobie kupię
Królestwo szczęścia! A ona — Stefanie!
Rzekła, jam twoja jam na wieki twoją —
Z sercem, ze łzami i z miłością moją!

Jabym za tobą poszła — jabym sama
Otoczyć chciała szczęściem twoje skronie —
Gdyby mi tylko pozwoliła mama —
Lecz ona zaraz takim gniewem płonie,
Kiedy łzy moje zobaczy za tobą —
Mama nazywa to — szałem — chorobą!..

Mama powiada, gdy mówię o tobie,
Że cię nie nazwie nigdy swojem synem —
Że prędzej woli mnie zobaczyć w grobie,
Niżby jej córka z takim poganinem
Miała brać śluby... a ta stara ciotka
Powtarza za nią pacierz jak grzechotka.

I rozpłakana dziewczyna, tuliła
Śliczniutką główkę w jego silne dłonie.
A on powtarzał „o prędzej mogiła!“
I rozpalone usta na jej skronie
Kładł – i przysięgał jej miłość bez [granic
I że nikomu nie odda jej za nic!..





Zazwyczaj takie sceny, niespodzianie
Przerywa jakiś wypadek — zdarzenie..
Inaczej długie byłoby kochanie
I węzłem wszystkich dramatów żenienie
Młodych kochanków ze sobą — w przed- [świcie
Awantur — wtenczas czem byłoby życie?

I czem poezja? to bezdenne morze
Ryczące wiecznie piorunem i burzą!
Nawet gdy ciche budzą ziemię zorze,
Nawet gdy ptaki hymn wesela wtórzą
Całem urokiem życia, wtenczas nawet;
Dyszące paszcze piorunowych lawet!

Inaczej kwiat ten byłby monotonny —
Głuchy i martwy jak bankiera dusza
Lecz kiedy prochem awantur jest wonny,
Na wykrzyknika gdy kochanek rusza
Zdobywać serce na wyspie bezludnej;
Bladej jej twarzy przy księżycu — cudnej



Tak i pan Stefan zgniewany uporem
Mamy — przez upór chciał Annę posiadać
I po kryjomu w altanie — wieczorem
Bywali razem, by się wyspowiadać

Że nieszczęśliwi to i on i ona
Że ona umrze a on dla niej skona

Lecz wam przysięgam — gdyby przyszło igłą
Ukłóć się w nosek, jego pięknej Anny

Serce by pewno od razu ostygło —
A jemu nawet gdyby suchej wanny
Śmierć postawili, i ją do wybrania,
Zrzekł by się panny — pieszczot i kochania.

SPIS PRZEDMIOTÓW:

J. Osiecki, wydawca. Redaktor odpowiedzialny: Dr. H. Jasieński. Z drukarni E. Winiarza.